

GLÓŚ LITERACKI

DWUTYGODNIK

№ 13/14 (37/38)

Warszawa 1 — 15 Września 1929

Rok II.

JÓZEF PODHALICZ.

DROGA

„Do Ciebie, w miasto żałobnych Szopenów —
„Tam czekaj mnie... każdy umiera”.

Stanisław Ryszard Dobrowolski.

Spełni się szalona droga nieznana
Z słowa poczęła — w słowo wplątana.
Znowu mnie od brzegów zniosłaś daleko
Burzą ogromną zmięczona rzeko.

Patrzę i patrzę. Miasto i przestrzeń.
Zdarzeniom usta kwitną na wiersze;
Wieczność pozdrowia nocą i ciszą —
Jutro i wczoraj, dawność i dzisiaj.

Patrzę, patrzę... Niebo z ziemią zrasta.
Przemiany nazw nie mają — a moje...
Nikt dziś mową nie męczy mnie z miasta
Nie zasmuca cisza swym spokojem.

Wiem. Żadna droga nie skręci w górę
Ludzie szczęśliwi — przestrzenia
pjani.

Każda ulica stanie przed murem —
I ziemia zmięczy i wieczność spali.

Codzień męką nabrzmieje na kamień,
Czas żywica wysączy z pod kory —
Będzie radość kipiała za nami —
Przyjdzie wieczór zmęzony i chory.

I nie wrośnięm, nie wrośnięm już w
w lato —

Nie odszuka nas już żadna miłość;
Oczy niebem i usta się zatną,
Dzień ostatnią rozbroi zawilść.

* * *

Brzegi... liljowym sierpem wschód ścina
Noc kotwicą opada góziec na dno...
Tam — — tam czekaj mnie u brzegów
sinych
Tam gdzieś nocą opadną bezradną.

WALKA O BOGA¹⁾

Spodziewałem się, że moja surowa, lecz przedmiotowa²⁾ ocena tomu sprawozdań teatralnych Boya, mianowicie „8-mego Wieczoru „Flirtu z Melpomeną” wywołała replikę. I rzeczywiście wystąpił z nią p. J. Braun na łamach „Kurjera Porannego”, którego redaktorem literackim jest właśnie Boy.

Wątpię z góry, czy zdołam się z moim przeciwnikiem porozumieć. Nietylko dlatego, że jesteśmy intelektualnie ludźmi z wprost przeciwnych planet. Lecz głównie z tego powodu, że dla pana Brauna, jak wogóle dla całego legjonu dzisiejszych sprawozdawców jest Boy przedmiotem bezkrytycznej adoracji, dla mnie zaś jest takim samym terenem badawczym, jak każde inne zjawisko literackie. Boya postawiła krytyka a raczej mówiąc dokładniej warszawska gielda literacka na takiej astralnej wprost wysokości, że w tej tropikalnej temperaturze bezustannych superlatywów, wśród rozpasanych gongów reklamy ze strony jego chwalców wszelki trud sprowadzenie tej niewątpliwie wartościowej i ciekawej twórczości do właściwych proporcji na razie jeszcze spotyka się z jednolitym prawie frontem oporu. Artykuł polemiczny p. Brauna jest rezonansem tych niezdrowych stosunków, z którymi trzeba będzie jednak skończyć! Uprawia się dzisiaj w krytyce literackiej w lwiej części nie zdającej sobie sprawy z granic odpowiedzialności za rzetelność wartościowania literackich faktów — system skrajnego powiększania lub pomniejszania utworów i pisarzy. Poprostu o tych niesłychanie ważkich sprawach decydują doraźnie przynajmniej sztucznie improwizowane na giełdzie literackiej koniunktury, dziwnie niewspółmierne w stosunku do rzeczywistości literackiej. Niewiele się dzisiaj słyszy o Lesmianie czy Ortwinie, Grabieście czy Miłaszewskim, natomiast dokola Boya powstała już istna „mitologia”. Krytyka zdążyła go już tak doszczętnie sfalszować, że kiedyś w przyszłości, literacka ekshumacja prawdziwego Boya wymagać będzie niezwyklej wnikliwości i intuicji, psychologicznej. Trzeba będzie, jak to zrobił Boy wcale umiejętnie z Przybyszewskim dokopywać się przez nieprzeniknioną dżunglę kłamstwa, rozsnutego nad tym pisarzem przez jego przedwcześnie i niepowołanych kanonizatorów — do właściwego oblicza pisarskiego autora „ludzi żywych”.

Paradoks zdumiewający w danym wypadku groteskowością antynomii polega na tem, że z Boya programowanego bluźniercy i wroga wszelkiego autorytetu zrobiono formalną Mekkę i Medynę mistycznych niemal zachwyty i absolutny autorytet, niemogący wogóle podlegać krytyce. Dlaczego? Twórczością Boya zajmę się niebawem dokładniej, więc postaram się dać odpowiedź i na to pytanie. Na tem miejscu wykażę kruchość argumentów polemicznych pana Brauna, skierowanych przeciw mojej osobie w jego replikę. Mam wrażenie, że p. Braun rozprawia się w niej, miejscami przynajmniej nie z zemną, lecz z fikcyjnym przeciwnikiem, podstawionym przez własną wyobraźnię. Nigdy bowiem nie potępiałem Boya za jego bezprzeznętną ceną walkę z leczmanami myśli, z jezuitami, dewocyjnym tradycjonalizmem i z zakłamaniem t. zw. konwensu społecznego, którego głupotę czujemy tak często na własnej skórze i którym się trudno zachwycić. Natomiast mam poważne zastrzeżenia i nie jestem, bynajmniej odosobniony w tych wątpliwościach co do wartości niepokojącej przemiany Boya, ujawnianej w jego publicystycznych wystąpieniach. Ponieważ Boy przemycza to stanowisko, które zdradza najwyraźniej zaczątek manieri intelektualnej w swoich nowszych pracach literackich, uważałem za stosowne wbrew modnej dzisiaj epidemii pochwał bez zastrzeżeń w stosunku do Boya podkreślić te rzucające się w oczy minusy. Dziwnie zatem goślośniewie brzmi patetyczna jeremiada p. Brauna pod adresem zmarłych, niedomówionych i świadomie ukrywanych myśli, byle tylko z małodusznych, oportunistycznych pobudek nie płynąć przeciw prawdzie. Nie ja zatem uległem w tym wypadku psychozie przemilczania prawdy. Wiem z licznych rozmów prywatnych z wybitnymi pisarzami i uczonymi, że wielu z nich podziela mój sąd; ale publicznie wypowiedzieć go miał odwagę dopiero Stan. Miłaszewski i ja. — Na czem polega jednak wzmiankowana przemiana Boya? Siła jego leżała głównie w jego odkryw-

czem, wyzwalającym przeczeniu. Boy zatracił jednak, niestety, od pewnego czasu poczucie dystansu między celowością przeczenia a jego pretekstem, między zawartością myślową paradoksu (w którym się tak lubuje) a jego bezpłodną, jałową ekwilibrystką. Paradoks stał się dla niego celem, dyalektyka nabrała niezdrowych odcieni sofizmatów. I to nazywam manierą intelektualną, dla Boya naprawdę groźną. O ile przedtem negacja Boya, płynąca ze źródeł jego intelektualnej przekory ośniewała twórczymi błyskami rewelacji, obecnie przeżwawnie pozbawiona busoli, razi banalną, bezprogramową napastliwością. Sądzę, że ferment tej przemiany zaczął się od Boya człowieka, by w następstwie zaatakować pisarza. Nie dotykałbym zagadnienia moralnego daltonizmu Boya, gdyby on sam nie robił z tej wątpliwej enoty sztandaru, i gdyby ten kąt widzenia nie odbijał się fatalnie na jego systemie wartościowania. Mogę zapewnić p. Brauna, który broni naiwnie z góry przegranej pozycji Boya-daltonisty etycznego, że takimi daltonistami byli daleko, daleko poważniejsi krytycy, n. p. M. Mochacki. Ten ostatni najświetniejszy krytyk polski, z okresu romantycznego, nie rozumiał zupełnie szekspirowskiego Hamleta. Zubożył go o całą skalę wartości moralnych, przeestetyzował jednostronnie. Głęboko tragiczną kreację Hamleta, zniekształcił i okroił, wyobrażając ją sobie w kategoriach swojego czasu, jako poklonego ze światem piekno - ducha. Słowem sfalszował psychikę Hamleta. Ale dzisiaj, jest krytyka bogatsza o stulecie doświadczeń i odkryć w dziedzinie psychologii naukowej. Dzisiaj nie wolno krytykowi popełniać takich błędów. P. Braun twierdzi jednak z tupetem, że właśnie Boyowi, który „ośmiesza hipokryzję, zdiera maskę ze świętoszków”, wolno „ustosunkowywać się do norm etycznych nieco inaczej, niż wznieśli, nabożni ich głosiciele”. Jeśli chodzi o kreację dramatyczną pokroju „króla Agisa” lub „księcia Niezłomnego”, a o nich była mowa, to nie może tu wchodzić w grę ani świętoszkostwo ani obłudność. P. Braun albo nie czytał tych monumentalnych dramatów, albo ich nie rozumiał. Tembardziej obecnie w epoce wysoko postawionych badań religijologicznych, których przedstawiciele posiadają już obecnie katedry uniwersyteckie, (u nas zajmuje się religijologią młody badacz, dr. T. Mitana), w epoce która wyrzuciła już do rupeciarń niedorzecznych przeżytków, sądy o mistyce, jako o umysłowej aberracji, która używa terminu „psychologia świętości”, jako oficjalnej nomenklatury naukowej, poglądy Boya muszą się wydawać niepoważne i zasługują zupełnie na zarzut dyktantyzmu. Krytyk, przystępujący do tych zagadnień powinien je mnięć więcej poznać i rozumieć, w przeciwnym razie — powtarzam raz jeszcze — nie ma prawa do zabierania głosu w tych sprawach. Rekordem naiwności jest obrona ze strony p. Brauna hipotezy Boyowskiej o t. zw. rusalskości Wyspiańskiego. „Rusalskością” tłumaczy Boy wizyjność Wyspiańskiego, jego cudowny dar współzycia z duszą wszechrzeczy. Hipotezę tę nazwałem w swoim sprawozdaniu cudaczną. P. Braun wyjaśnia, że nie należy jej brać na serio. Ot, poprostu Boy figlarz, zamaskowany kawalarz nabrał czytelnika i krytykę. Arcydziwna obrona. Trudno o większą, zresztą niezmierzoną kompromitację swojego klienta. Bezwiednie nasuwa się konsekwentny wniosek, że Boya w wielu wypadkach nie należy traktować na serio. Znalazł się jednak krytyk i to dosyć przenikliwy, który do hipotezy Boya doimprowizował całą metafizykę, nawiasem mówiąc poronioną. (J. E. Skiński w „Problemacie Boya”). Mnie hipoteza ta wydała się z miejsca podejrzana, czemu dałem wyraz w swojej recenzji. Mogę zatem uspokoić p. Brauna, że nigdy nie przeszło mi nawet przez myśl brać na serio to cudactwo. Jak się jednak zorientować, kiedy Boy mówi serio, kiedy zaś robi kawały — czy jak chce jego obrońca „figluje”? Trzeba by wypracować jakieś nowe kryterium, oparte chyba na jasnowidztwie, by rostrzygnąć te zakonspirowane w kapryśnej umysłowości Boya momenty, grożące każdemu krytykowi zasadzką. Krytyka nie jest jednak kabaretem. Sport „robienia kawałów” mija się bezapelacyjnie z jej przeznaczeniem. O tem musi pamiętać każdy prawdziwy krytyk. Niech mi wolno będzie stwierdzić w konkluzji, że Boyowi, pisarzowi poważnemu i zasłużonemu wyrazem od dłuższego już czasu, nieobracającą wprost krzywdę Boy-feljetonista, wkraczający w obce sobie dziedziny spraw i zagadnień z uniwersalnym, wyroczym sądem „miedrca”.

Jerzy Eugenjusz PLOMIENSKI.

STANISŁAW WYGODZKI

WIEZIENNA BEATRYCZE.

I odtąd żyłaś. Krzepko wrosłaś w nasze
wnętrza

O, Czarna Beatrycze z szorstkimi rękami!

Aleksander Maliszewski

Kim jesteś? Nie mów do mnie mową tak zawilgą.
Mów głośnie. Śpi miasto. Nikt nie słyszy w mieście.

Bolą oczy? Nie patrz ku samotnej gwieździe.
Nakryj oczy. Dłonią. Zewnętrzną stroną. Siłą.

Kim jesteś? Mówisz do mnie poprzez grubą ścianę.
Słowa wystukujesz. Liczę.

Mów prędzej. Prędko. Salwa przetnie nad ranem
w krzyku zamarłą ulicę.

Teraz wieczór miałem się powlókł. Jest ciemno.
Teraz w słowach wyrasta jak szale.

To śmiercią nakrywa się niebo nade mną.
Różowię gwiazdy — liszaje.

O twego kroków, na schodach! Pod drzwiami!
Umierająca wraz z nocą tęsknotą!

Jakimi cię żegnać słowami
przy słupku, pod nożem szafotu.

O zapomnienia z pieśnią na wargach!
Mury szumią twą mową. Słucham i czekam.
I tylko na wietrze trzepotał się i targał
twój krzyk co przez salwę przeciekał.

I wtedy cię ujrzałem wiezienna Beatrycze,
odtąd wszystkie zawiłe słowa rozumiem.
Odtąd krzyczę.
Zamilknąć nie umiem.

MŁODOŚĆ

Tych słów nie umiem zapomnieć,
i pomać nie mogę im sprostać.
Nad ranem oczy bola ogromnie
i niebo w krwi opływa jak krostą.

Ujść już nie mogę światom nieżywym,
drzwiom zatrzaśniętym i schodom krętym.
Ranki wpadają w ulice krzywe
nie mogą dosięgnąć pięt.

Tu młodość wykarmi duszące milczenie
i miasto wśród domów i deszczu popioły.
I dymy spowijają najcichsze więzienie
niebem, co ciąży jak ołów.

Jakże mi cięższy i miazdższy i gniciesz
kratą-pazurem, dzwonem-dźwiękiem,
wojskowem świętem w sennym powieci
w ratuszu pustym jak rękaw bezręki.

Z miasta czarne skrzydło ułata,
dachy roztrąca i pełźnie po murze.
Gwiazdy gwoździłami tłukąc po kratkach
rdzą opadają jesienią w podwórzu.

Mrok nas rozdziela i łączy nas mroki
wieści tajemne przez ściany szeleszczą.
Burza daleka przepływa obłokiem
w ukośnym, cierpłym deszczu.

I gdyby wtedy miał się spodziewać
tobym spowiedzi tej się zaparł.
Noc gwiazdzista, czy ciemna, to — zdrada.
Jodyny ma zapach.

Ziele zatrute! Ciszo wiezienna!
Dniu chwały i kłęski — torturo!
Grobie sześcienny — grobie kamienny
młodości oddana murem!

Ty wracasz i szumisz i budzisz i wolasz
i czuwasz nad miastem wyrosła.
I kiedy ramię unosisz wiosłem
o kraty uderzasz czołem.

¹⁾ Z powodów niezależnych od autora artykułu ten pojawia się z 3-miesięcznym opóźnieniem.

²⁾ Ogłoszona w „Literackim Głosie Prawdy”.

HENRI BARBUSSE W WARSZAWIE

Kilka minut przed siódmą wieczór.

Na dworcu głównym na peronie, obok wagonu sypialnego międzynarodowego pociągu Moskwa — Warszawa — Berlin — Paryż, grupka ludzi, wśród których dwie postacie w czarnych paparach. Smukły, postawny z czarnymi oczyma, obok mała, niska, wileńska żydówka z Bożniczej ulicy. Zapoznają się. Smukły mieszkaniec kaukaskich gór, to właśnie Henri Barbusse, a żydówka z Wilna to — panna Widal, jego sekretarka, rodowita francuska.

Pociąg zatrzymuje się w Warszawie na niecałe dwie godziny: zapada uchwała spędzenia tego czasu w pobliskim hotelu „Polonia”.

Czarna kawa, deszcz pytań. Zaczynam od problemów najbardziej palących:

— Bezdomne dzieci, ogólne wrażenia, emigracja Trockiego, wywiad Istratiego w Paryżu, antysemityzm, literatura sowiecka.

W szybkim tempie padają krótkie i dosadne odpowiedzi.

— Spędziłem w Rosji Sowieckiej około 10 miesięcy, zwiedziłem m. in. Kaukaz, kraje nad Wołgą i Krym. Naogół biorąc żyje się tam normalnie. O ile są trudności, to tylko wynik ol-

brzymich celów, jakie sobie rewolucja postawiła. Popelniamy zasadniczy błąd, gdy mierzymy kraj Sowiecki, przykładając normę ogólnoeuropejską, zdobyte na polu naukowym są wielkie. Instytut dla badania krajów podbiegunowych wraz ze stacjami biologicznymi wzdłuż brzegu Murmanu i obserwatorium pod 47° wysokości północnej nie powiedziały jeszcze swego ostatniego słowa. Ich badania mają ogromne znaczenie praktyczne nie tylko dla związku Sowieckiego, ale dla całego świata. Instytut oceanograficzny w Archangielsku, może służyć wzorem dla podobnych urządzeń. Instytut rybołówstwa w Charkowie oraz instytut oftomologiczny w Kazaniu wywołały zdumienie najwybitniejszych specjalistów w tych dziedzinach. Należy wziąć przytem pod uwagę, że wszelkie konieczne przyrządy wyrabiane są w samym kraju. Pierwszy drapacz chmur w Charkowie dla urzędów państwowych, nie ma równego sobie w całej Europie. Rozwiązano nawet kwestję bezdomnych dzieci; częściowo umieszczono je na wsi, resztę w zakładach wychowawczych.

Rząd sowiecki tłumy z miejsca wszelkie próby rewolucji, od wewnątrz. Powoływania się na

opozycję, i nawiązywanie do oświadczenia Istratiego w Paryżu, że „Trocki z opozycją to nowa rezerwa października” — wywołuje uśmiech. Istrati jest świetnym pisarzem ale kiepskim politykiem. Emigracja Trockiego nie uczyniła w Rosji żadnego wrażenia. Jeśli chodzi o literaturę, — opowiadają niestworzone rzeczy. Jest zrozumiałe, że w tak krótkim czasie nie mogła wytworzyć się pokaźna proletariacka literatura. Chociaż mamy już całą plejadę znakomitych talentów, przyczem rząd dba o ich rozwój. Nieprawdziwymi są również wieści o rzekomym zaniedbaniu literatury klasycznej. Dzieła Tolstoja wylawiane są i innych pisarzy ery poprzedniej. Żąda się od literatów nie tylko spełnienia swego obowiązku w imię „sztuki dla sztuki”, lecz również wiernej służby klasie robotniczej. Literatura zbliża się coraz bardziej do tych ideałów, które rewolucja postawiła sobie za cel. Zresztą ten problem wymagałby obszerniejszego omówienia. Antysemityzm daje się dosyć silnie we znaki, jest jednak energicznie zwalczany przez rząd.

Trudno w krótkim czasie wykorzystać to, co wrosło w ciągu stuleci. Zresztą, jest to tylko

zjawisko przejściowe.

— Chciałem opowiadać dalej Barbusse, zwiędniętą kolonję żydowską na Krymie. Niestety, zachorowałem i na Krymie spędziłem tylko okres rekonwalescencji.

Kawa już wystygła, zresztą nikt tego nie zauważył, prócz zegara ściennego, który przy pomału, że czas.

Przed rozstaniem, na krótko, opowiada jeszcze Barbusse o ciekawym zdarzeniu. Razu pewnego zaproponował. Anatolowi France'owi by zechciał zadeklarować swoje sympatie dla idei komunistycznej. France wyjął arkusz papieru, podpisał się na nim pełnym nazwiskiem i podał Barbusse'owi, dodając:

— Może Pan napisać na tym arkuszu wszystko, co Pan chce. Zgadza się z góry na treść.

Dokument ten leży po dziś dzień u Barbusse'a niewykorzystany.

— Jeśli chodzi o mnie, padają ostatnie słowa Barbusse'a, mimo, iż jestem zajęty redagowaniem czasopisma „Le Mond”, przystępuję obecnie do pisania wielkiej powieści z życia sowieckiego pod tytułem „Z lotu aeroplanu”. Z góry widzi się wszystko lepiej, no i obiektywniej.

PIESN O WOJNIE I POKOJU

Wartkim nurtem popłynęły żarliwe słowa. Wszystkie są mocne, wszystkie są szczerze. Dobrowolski zapowiadał to już od dość dawna. O charakterze jego, porywającego poezji można było mówić już po wydrukowaniu programowej niemiłej „Pieśni o idącej sławie”. Dziś powtórzę tylko to, co wówczas sam sobie powiedziałem, że to jest nieodwzajemniona miłość liryczna walki i zwycięstwa. Dziś muszę dodać, że jest ona zarazem nieodzowną potrzebą duszy, że jest wywalczeniem nieustannie sobie samemu nowej, trwałej treści moralnej. Zapewne, niejedynemu już poecie stwierdził, iż socjalizm jest przedewszystkiem nową moralnością: mało, który jednak mocno, tak żywo, jak Dobrowolski. Przypominam sobie zdanie Schürera: „socjalizm... jest (Maliszewski? Broniewski!) powiedział to tak nową religią ludzkości...” Tak, Dobrowolski to potwierdził.

..

..

Wszystko, co powyżej: — moje osobiste wrażenia. Sądzę jednak, że każdemu czytelnikowi takie właśnie, nie inne, przeżył da ten świetny tom. Dobrowolski zadziwia przede wszystkim siłą swego wyrazu. Siła, którą, nawet gdy przeczy, — przeczy w formie afirmacji:

Ty karmelkowo-słodki seraficki loju,
spasły Fra Angelico, całujący lwy;
To na polach pod Verdun szedł anioł pokoju
Przed milionową armją, wśród kurzawy krwi.

A wobec tych swoich konstruktywnych wartości, wartości przebudowujących zbiorową duszę społeczeństwa — zagadnienie wojny i pokoju jest bodźcem czołowym zagadnieniem „Pożegnania Termopili”. I dlatego „Pieśń o wojnie i pokoju” jest jądrem i pointą całego zbioru. Tutaj poeta wypowiedział się najpełniej: — słowem, jakie wyrzekł — uczuciem, jakie budzi:

W głuchym huku dalekich grzmotów
Trzody ludzkie gnane na rzeź
Suchym trzaskiem salw kulomiotu
Wypisały w ogniu tę pieśń.

Niedawno wartką strugą krwi spłynęła rozplataną pierś Europy: ta krew jest dziś najpewniejszym antidotum przeciwko wojnie, przeciw zbrodnicemu militarystom.

Romantyzm? — O, tak! — Poeta jest dziś przede wszystkim emanacją i ustokrotnieniem zbiorowej — a czasem podświadomej — woli mas. Ale w tym (— muszę to jeszcze raz powtórzyć!) — pięknym tomie sam Dobrowolski, jako indywidualność i jako organizacja moralna znalazł dość silny wyraz. Wyczuł to: — ostatnim akordem zbioru jest nawskroś osobisty wiersz: „Sława”.

Każdy tom poezji ma rzeczy słabsze i mocniejsze. Ale w „Pożegnaniu Termopili” napróżno szukałem wiersza, o którym mógłbym powiedzieć, że — lepiej żeby go tam nie było. Znać tu staranną troskę o poziom, o układ — jak to wiele znaczy! — i o jednolity ton zbioru.

Wiesław Pawełski.

KRAJ LAT DZIECIENNYCH

W dziedzinie powojennej dydaktyki języka polskiego „Kraj lat dzieciennych” J. Balickiego i St. Maykowskiego, książka, która zdobyła sobie już prawo obywatelstwa na terenie rzeczywistości pedagogicznej — stała się do pewnego stopnia cennym drogowskazem nowego kierunku. Tom II-gi, „Będziem Polakami” stanowi mniej więcej podobną całość cykliczną, która jednak w „Kraju lat dzieciennych”, miała na celu rozwinięcie zdolności introspekcyjnych dziecka. W 2-gim tomie wychowawczy czynnik samoobserwacji, ustępuje miejsca zgodzie z umysłowością i poziomem apercepcji dziecka w nowym okresie rozwojowym jego życia, postulatami bardziej złożonym. Autorzy podręcznika, pierwszorzędni dydaktycy, którzy poznali

gruntownie w czasie wieloletniej praktyki nauczycielskiej, duszę dziecka — postawili sobie za cel organizację jego światopoglądu narodowego i charakteru, naturalnie w granicach jego nieodróżnionowej psychologii. Dlatego książka mówi prawie wyłącznie o Polsce; daje przegląd kolejnych regionalnych typów jej życia, by wycharakteryzować w sumie niezmiernie plastyczny, wielostronny obraz polskiej teraźniejszości. Opowiadania, traktujące o Lwowie, Warszawie, Śląsku, polskim morzu, Wileńszczyźnie i t. d., oraz kilka kart z polskiej przeszłości w rzetelnym i sumiennie dostosowanym wyborze, zaszczepiają w dziecku samowiedzę narodową. Uczą go katechizmu miłości kraju w najbardziej odpowiedni sposób, nie zapomną retorycznych kazań, lecz refleksyjnych i uczuciowych przeżyć. Wypada dodać, że książka ta, na którą złożyły się utwory wybitnych pisarzy starszego i młodszego pokolenia, przez swoje wysokie walory artystyczne, jest równocześnie doskonałym współczynnikiem wychowania estetycznego.

Juliusz Balicki i Stanisław Maykowski: „Będziem Polakami”. Drugi rok języka polskiego. Nakł. Ossolineum.

J. E. P.

JAN ZESTACJI NADAWCZEJ WIKTOR

Chciałem zbudować stację nadawczą na najwyższych szczytach świata. Marzyłem:

— Stać ponad wszystkimi sprawami i z wyolbrzymionych szczytów myśli twórczej w dalekie przestworza wysłać jedną depeszę. Na ziemi rozpalę serce człowieka uwikłane w czarne cienie, aby Bóg dojrzał uśmiech niebiosom przez życie dawany.

Rozpoczęła się praca.

Obok wystylizowanych rusztowań zakłębił się hałas roboczy. Ruch gorączkowy. Żył w pośpiechu. Skrzyp belek. Windowanie bloków kamiennych. Tłumy skłębione. Na belkowaniu ciemne mgienienia postaci niby pajaki wplecione w siatkę. Murarze, cieśle, koźlarze, przebiegali, nieruchomieli. Miliony skinięć rąk, nóg biegnących w górę i w dół.

Każda twarz rozżarzona, oczy płonące niby licywa zapalone, uniesieniem. Szumiły fale wrzawy, wzbierając co godzinę, zdawało się, że wzbudzona powódź niebios sięgnie i przestworza zaleje. W zgłębieniu roboczym huk młotów jakby łoskot zdobywczych kroków, idących zwanym szeregiem w wyżyny.

W ciągu lat barczyste maszyny przeżyły swe mięśnie, prostowały i dźwigały coraz wyżej. Hardo wznosiła się budowla. Olbrzym nogi wparł głęboko, a muskularne, potężne ramiona wyciągnął ku niebu, aby zerwać słońce, trzasnąć nim o ziemię, aby życie stanęło w promiennej łunie.

Krzyk wstrząsający światem:

— Budujemy wielkość myśli człowieka.

— Prochem jesteś przeniesionym z przestworzy wieczności.

Wyolbrzymiał w nim upór.

Znów nurył rozpęd pracy, grzmoty pośpiechu.

Po grzbietach roboczych dni spływał pot i ogień jak krew z ran słońca. Huk, skrzyp lin, łoskot młotów, grzyt świstów śpiewały podniosły hymn w błękitnym kościele wśród chmur i błyskawic. W wybuchach błyskawic oświetlających budowlę lampami łukowymi, w

piorunach wołających grzmotami, wznosiłem strzeliste wieże, aby stanąć na ich szczytach i spojrzeć w oczy Boga.

Spragnięte przeszła rzuciły w dal olbrzymi cień zwycięskiego pochodu.

Na nim zdobywcy człowiek.

I wtedy uniesienie we mnie spiętrzyło się niby szczyt górski, na którym płonie znak miłości, wici płomieniste.

Słowa moje jak pokorny sługa u stóp Twoich padną, aby w prochu złożyć pocałunek. Uwielbienie prześlę rozżarzonemu wyrazami.

W wybuchach elektrycznych natchnień stanę, mnich w czarnych habitach tajemnic i zablągam — ulituj się — Ja wędrownik zbłąkany z wszechczasów podniosę oczy ku niebu i zapale spojrzanie — jednym pytaniem. Modłę się warkotem motorów, w świętej ekstazie gorzej refleksorami i rzucam smugi w czarne dale.

Z ambon anten w imię ludzkości nieszczęśliwej przemówię do Boga.

Bóg prześle depeszę słoneczną.

Rozpale serce i w świetlistych wyrazach odpowiem depeszą wiary i miłości.

Wichry zachwyconego życia uderzą falami żarliwych dziełczynień.

Miliony kilometrów staną się ciosem jednego wzruszonego pulsu.

Wieki staną się westchnieniem.

Serce i rozum dwa motory.

Myśl i czucie dwie fale wiekunięć bijące w wyżyny.

Skończyłem budowlę.

Drutami nerwów i tętnic opłotłem ramiona wież, aby przez nie przepływał prąd przenoszący z ziemi każde drgnienie życia, słowa, spojrzenia, westchnienia, aby każdy dreszcz myśli pożar w przestworzach zapalał.

W pasach, transmisjach, szpulach dusza człowieka nabita energią uczuć, elektrycznością miłości.

Maszynista — twórcza myśl — wprawił w ruch koło rozpędowe. Runął prąd, dynamo — maszyna — słońce — nabijało szaleńczą siłą rozum i serce.

Moc całej ludzkości.

Napięcie wieków.

Dałem sygnał.

Stacja: Wieczność!!!!

Iskra serca trysła w płomienisty strumień zmienioną.

Jedną, drugą, trzecią.

Słowa wypadały i świetlistymi błyskawicami przesyływały niedocieczone przestworze.

Zagrzynał krzyk.

— Piorunem wielkiego głosu wołam: Bóg! Ze wysłuchaj człowieka. Błyskawicami wzdycham.

Zadygotały wstrząśnięte posady światów. Słucham.

Milczenie jakby zamarłe wieki spoczywały na katafalku w przestworzach.

I pomyślałem.

— Bóg usłyszysz szepc warg stulonych i pulsem rozerwanych — kiedy mówisz słowo — miłość. Wtedy uśmiech radości na wargi Boga padnie i Bóg weselem ludzkim uśmiechnie się do ziemi.

Znów zawołałem.

Miałem wrażenie, że wieść o miłości ginęła w skłębionych wirach codziennych spraw, w żywiołowych burzach, namiętności w chaosie i zamięcie zła.

Zacinałem się w uporze.

— Muszę przebić. Skorupec zasklepiający ziemię podre ciosami, poszarpię, strącę w gruz. Wtedy między Bogiem a człowiekiem stanie się słoneczna przestrzeń: Dobroć i świetlistymi falami wyszukam zatraconej drogi — i cudobarną tęczę modlitwy przepaszę niebo i ziemię, serce człowieka związę z sercem Boga — niebo strącę na padoł placu a życie ziemskie w niebiosach umieszcę.

Już widziałem pomieszaną pierwiastki.

I w sercu Boga zamieszkiwała modlitwa miłości człowieka, a w sercu człowieka szczęśliwość Boga.

I stanowią jedno w radości.

Coraz wyższe napięcie.

Wszystkie druty z sercem połączyłem. Wysłałem wieść o życiu, którą los pisał czarnymi literami.

Ciemniały słowa. Usłyszałem płacz ludzkości. Prośby zmieniały się w przekleństwa krzywdy. Z krzyku wypadła treść harda, buntownicza, mściwa.

— Szukam słowa „dobroć” w przestworzach, w chmurach, w burzach, w ciszy błękitów i wśród gwiazd. Do krzyża przybiłeś człowieka. — wtoczyłeś koronę cierniową i opuściłeś syny swoje w strasliwej godzinie. Litanja pulsami bluźnierczej duszy wykrzyczana. Głoszę nową ewangelję pomsty, gniewu i nienawiści.

Zrywałem się z pięściami.

Coraz potężniejsze ładunki głosu wyrwały się

— Pulsem serca człowieczego uderzam i serce Boga wstrząsnę. Zburzę. Podre dał. Usłyszec musi. Rozżarzę, rozpale, rozsądze boga wolę i chlusa płomienie miłości.

Niebiosa znak dadzą.

Przestworza pełne śmiechu błyskawic.

Cisza.

Kołysał się świat wstrząsany huraganem gromowładnej modlitwy.

Z wszystkich stron świata zwołałem grzmoty i nawałnice miłości, przekleństw, bólu i rozpacz.

Wezwanie i wyzwanie.

Krwawy bilet rzucony pod stopy Boga.

Krzyk zbuntowanej duszy.

przekleństwo krzywdy. Chorał potępionych. Pieśń prośby. Wołanie miłości.

Słowa zapelnili zamknięte powietrze warkotem zrewolucjonowanych motorów, śmigłami oszalałych aeroplanów.

Z ran ludzkich wyrwałem pokrwawione bluźnierstwa i ranilem przestworza, bryłami wyszarpanymi ze skał przeznaczeń niebios kamienowałem.

Głos jak torpeda zapalona zemstą przekreślał dale ognistymi wykrzyknikami i milionem ciosów w zatrzęsnięte bramy bożej woli.

— Piorunami ludzkich wołań, strzaskami i rozbię.

Chmury rozżagwiły się od pożaru pragnień.

Wszystkie poranki od mojej miłości spłynęły.

(Od męczarni przeszłe i przyszłe dni krwią zboczyły i czerwone krople godzin ściekały. Od nienawiści niebo łuną pokryło się.

Od łez przestworza zapłakały.

Od mściwych spojrzeń rozpromieniły się głuche dale i spaliły drogę modlitwy. Bombardowałem dzień i noc pociskami buntu, maczanymi w przepastnych ranach bluźnierstw, języków, rozpiętych na krzyżu męki i rozpacz.

Nadśluchiwałem.

Męczeńskie wyrazy, przekleństwa, błagania, wyznania, przysięgi, chorały, modlitwy zmieniały się w słowa potępieńczej litanji i z wyżyn wracały jak zbuntowane anioły, stracone w przepaść wieków przekleństw.

Po wielu dniach zrozumiałem.

Niebosiężna góra sięgnęła wyżyn i zasłoniła przestworza.

Depesza mego tak pokornego, jak i zbuntowanego serca odbiła się od skały krzywdy — którą Ty Boże między niebem a ziemią zbudowałeś.

A mogłeś tęczę uśmiechu przepasać, — niebo i ziemię złączyć świętym łukiem słowa.

— Dobry Boże!

REKA NA STERZE ! ZAGUBIONY KLUCZ OTCHŁANI

Wśród współczesnych poetów — Zechenter wyróżnia się swą osobistą sylwetą, swoim smutnym kształtem uduchowienia, mówiący czytelnikowi: — w mych wierszach już przeżyłem świat. Pamiętam go jeszcze w kraju, gdy swym indywidualnym ferworem, z energią wiodł naprzód — „Gazetę Literacką”. Dzisiaj ubiegło lat parę. Wiele się zmieniło. Witold Zechenter — studiując we Francji — pozostał niemniej ciekawą osobistością twórczą. Ciekawość nasza — słuszną znajduje ujście, gdy wnikiemy w wiersze — zawarte w ostatnio wydanym tomiku*).

Poezji, aby stała się naprawdę interesującą sama w sobie — potrzeba tych czynników. Faktury — jako kształtu zewnętrznego, odczucia treści i wiary w moc swego słowa — jako kształtu wewnętrznego. Zobaczymy, analizując „Rekę na sterze”, iż W. Zechenter uporczywie doskonalni i wywalcza w sobie te czynniki.

Poezja właściwie stoi — osamotniona, waha się między indywidualizmem doznania a uniwersalizmem poczucia i tworzenia. Stąd pewne, jak gdyby niezdeterminowane stanięcie na rozdrożu idei. Poeta jak gdyby wirował między Seyllą a Charybdą. I tak. Mamy z jednej strony wiersze takie, jak „Reka na sterze” czy „Promień” — a z drugiej: nawskroś pesymistyczną „Balladę”.

Zechenter jest w każdym celu współczesnikiem. Spłot konfliktów, który nas co godzina niemal osacza i dławi, temu jest swym nagim tragizmem, bodźcem do tworzenia. I trzeba przyznać, że te, że te właśnie utwory, którym poeta świadomie nie odebrał badawczej bezpośredniości — całkowicie zadawała dzisiejszą poetykę.

W wierszach zbioru „Reka na sterze” przedewszystkiem, zagadnienie pierwszego planu, zagadnienie kompozycji — ducha poety. Jego pesymistyczne nastawienie względem poruszanych problemów.

Tu niezmiernie interesującym będzie paralelizm między: duszą, a temi trzema czynnikami, decydującymi o współczesnej poezji. A więc, jest to zagadnienie — naprawdę nie skore do ujęcia syntetycznego — wpływu na technikę, na dynamikę, na autora poezji. Bo — czy w istocie możliwe jest oddanie zmian i reprezentowanie tych zmian, dostrzeżenie — na technice, dynamice i autorze?

Przekonają dostatecznie o tem, utwory. Szczegółne współdziałanie psyche poety i jej wpływ na technikę — dostrzegamy w „Czterech zwrotkach”, w „Narodzonej święcie”. Tutaj mamy rzecz niezwykłą. Dusza twórcy wyraża się najlepiej w technice kompozycji, w ekspresyjnym znaczeniu wiersza. I może — znać w danym wypadku pełniejszą bezpośredniość, lecz obok idzie pewne nieokreślenie faktury. Konstrukcja psychiczna poety wyladowuje się nie w doborze słów, określeń. Konstrukcja narzuca się idei utworu, ujmuje całość utworu, przetapia na swoją modłę. Wówczas — rezultat zadawalniący. Niema przestroju czynnego tworzywa nad biernem. I odwrotnie. Przedstawicielami tego są: — „Dwa młoty”, „Ballada”.

Ale może też zająć trzecia możliwość. Najczęstsza. Może nawet najnaturalniejsza i najciekawsza, jeżeli chodzi o obserwację wewnętrznego życia poety, znaczonego powstawaniem poezji. Tak. To jest nawet, prawdopodobnie najnaturalniejsze. Jeżeli zaś bierzemy wyłącznie pod uwagę artystyczny efekt — nie ustępuje dwu pozostałym przypadkom. Bo jest najmocniejszym, harmonijnym powiązaniem idei z formą. Tak — n. p. wiersz „Słowackiemu”. Wyjmę jedną strofę dla potwierdzenia mej tezy:

„Nie umiemy się modlić tak jak ty do Marji,
ani tak kochać, ni tak nienawidzić,
lecz każdy z nas w swej własnej srebrzystej
Szwajcarji
ideał twej miłości odczuwa i widzi”.

*) Witold Zechenter „Reka na sterze”. Poetę. Nakł. Hościńska, Warszawa, 1929.

Kolejno idźmy dalej. Skoro zostały omówione zagadnienia wpływu twórczego na tworzywo — musimy wspomnieć tę sferyczną gorączkę, którą Zechenterowi towarzyszy przy pracy. Po co poeta denerwuje się, jeżeli celu dosięga? Psuje — to wiersz, wiodąc niechybnie ku przeobrażeniu słowa nad treścią. Nie martwimy się jednakże. Zechenter posiada, tyle twórczego opowania, że nie da się porwać złudnym majakom.

Ta skłonność do hipertrofii — znalazła ujście w fakturze zechenterowskiej — jako takiej. Nie używa on bowiem prawdziwie nowoczesnych metafor, jeno obrazowania cokolwiek z przed laty. W dzisiejszej poezji — metafora odnosi się li tylko do jednego wyrazu. U Witolda Zechentera do całej strofy. Nie tak — jak być powinno. I jeszcze barwność obrazowania. Jeżeli twórca w „Rece na sterze” — wypowie kolorem nie dowodzi, że to kolor rzeczywistości: nie daje metaforycznego dowodu istnienia. To jest tragedia niedociągnięć, które dadzą się uzupełnić. Lecz znów obawiam się, że wiersze mogą zatracić całkowicie swój dzisiejszy, osobliwy urok i bezpośredniość. Więc chyba — niech będzie jak jest. Exemplum — cytata z Zechentera: — „i jak Ojczyzna szkarłatna”.

Tomik ma znaczenie głębsze. Precz pójdą niedociągnięcia faktury, precz pójdą załamania duchowe poety. Trzeba omówić tę nieabstrakcyjną mądrość, poważną w każdym niemal utworze. Mądrość doświadczona, a niekiedy i bolesna.

„Za wiele było wyzwoleń, by mogło być dziś Wesele
i wesele było za dużo. Dziś czas na Wyzwolenie”.

W najwykleszych prostych dwu zdaniach — zawrzeć historiozofję dnia Polski, to coś doprawdy imponującego. Można, że ta syntetyczna skłonność Zechentera jest objawem intelektualizmu, lecz intelektualizmu żywego, poetyckiego.

Ze współczesność autor „Reki na sterze” czuje — uzasadniać nie trzeba. I znów natrafiam na jedną, zwartą, przemawiającą syntezę, tym razem historycznego przetwarzania czasu.

„Świat dojrzewa w śmierci i rodzeniu,
wieki wieków zostały za nami —
dzisiaj radość jest błyskiem tworzenia
który jutro nad wieczoraj zbawi” (str. 37).

By gdzieś — usiąść na mieliznie rozpacz i pesymizmu:

„Runie spieniony potok chwil i wali
i gnie i łamie, niszczy, rwie jak rzeka —
człowiek był twardym rycerzem ze stali,
lecz czas pokruszył człowieka”.

Oryginalność poezji Zechentera polega nie na formie, lecz na treści. Tu przed innymi: psychiczne pojmowanie czasu, jako żywotnego i bezpośredniego wpływającego na tok zjawisk. Ożywienie zjawisk i jego personifikacja — i śledzenie za jego oddziaływaniem na istotę życia.

Suma ogólna wrażeń z tomu Zechentera jest charakterystyczna. Mało zaliśmy tego, mrukliwego (chyba ściśle?) poety, który najgłębsze studnie ducha potrafi z taką prostotą nazywać. Jeszcze jedno, a mianowicie: — wysoka kultura asonansów. To wszystko — zbierając — czyni dla poety dodatnie wrażenie. A kiedy wyzbędzie swego pesymizmu, kiedy wypadnie ze swej „sferycznej gorączki”, a będzie z równym uporem poszukiwał — da nam rzecz napewno świetniejszą, przyczyniającą się do bliższego wglądu w nasze otoczenie poprzez dziwną, niesamowitą, prawdziwą duszę poety.

W. Cz.

Andrzej Strug. Klucz otchłani. Wydawnictwo J. Mortkowicza. 1929, str. 502.

Mówić o trzech wojennych opowiadaniach Struga i pominąć nasuwające się analogie między tem co u nas napisano o wojnie i u obcych, znaczy tyle co określić je jako pospolite i niespełniające swej roli. Gdyż opowiadania te w myśl tego co powiedziano w zakończeniu. (Ci, co pamiętają, w dziesiątą rocznicę wielkiej wojny, poza degradacją bohaterstwa („Klucz przepaści”) i kreśleniem okrucieństw rzezi („Żołnierz z pod St. Beat”) z pacyfizmem nawet po mieszczańsku pojętym niczego wspólnego nie mają. Tu rozwiązujemy kompleks polskiego socjalisty — inteligenta uwikłanego w bezradności, której źródłem jest socjalizm plus nacjonalizm inacej powiedziałby: kazuistyczna kompromisowości. Zarówno w znaczeniu ideologicznym jak i formalnym. Ideologia: we wstępie „Święto świętych” utrzymanym w podniosłym proroczym prawie tonie, autor mówi o nafię i węglu i niezłomnym dolarze, i próbuje dać syntezę powojennego świata, stawiając z jednej strony paskarza, z drugiej armję pracy, która podchwytuje szepot protestu nieznanego żołnierza przeciwko wojnie. Ale oto już tutaj najdoskonalszą blagą i hecą nacjonalistyczną, która się zwie czczeniem nieznanego żołnierza, autor nazywa niebywałą ideą i przy tej sposobności nie omieszkał pochwalić „genjuszu Francji”, który „wygórował ponad narody”. Niech nam również wolno będzie zabawić się w historiozofję mniej mętłą i bardziej jasno wygłoszoną: genjusz Francji wystawił również pomnik nieznanemu żołnierzowi z dwiżki marokańskiej „aux marts de la division marocaine”, żołnierzowi co nie bronił genialnej Francji z wielkiej dla niej miłości, ale pod przymusem. I jeszcze jedno: genjusz Francji bez goryczy zarzynał marokańczyków walczących o wyzwolenie. W tem świetle podejrzana się wydaje wielkość genjuszów i z głębi niezliczonych podobnych wydarzeń, które u autora wywołują jednocześnie podziw i wstręt, miłość i odrazę, wyrasta nieufność do wszelkich świętości. I wreszcie, gdy się przenosimy do swoich własnych spraw („Uczta zwycięstwa”) raz skompromitowane bohaterstwo autor znów wywyższa, i jeszcze jeden krok, a straci kontrolę nad tem co chwalić wolno, a o czem wogóle mówić nie należy. Ale mówiąc o „Uczcie zwycięstwa” poprostu nie sposób już nie wspomnieć chociażby o „Clerambault” Rollanda, i gdyby jedynie usprawiedliwienie postawy autora (groźba bolszewizmu) miało wystarczyć, wolno chyba mówić o obosieczności wszelkiego pacyfizmu pozostającego pod wpływami najwyższej instancji nacjonalizmu, który wszelką niepewność zamienia przy pomocy wojny w bardzo solidne gwarancje (gospodarcze — kapitalistyczne) przynoszące korzyści tym co wojnę spowodowali i nieuniknienie do niej prowadzą.

W opowiadaniu „Uczta zwycięstwa” autor wyraźnie mówi o sprawach, które się popular-

nie nazywa stwarzaniem pozornych ideałów: „Co tu dużo gadać, jeżeli jest gdzieś w świecie prawdziwa Polska, to tylko tutaj w ludziach młodych, mocnych i męźnych. Jest ona razem z nimi, jest między nimi — w armji na froncie...” i teraz kwestja czy armja pracy (Strug ciągle jeszcze tkwi w bohaterszczyźnie, ale kategoria klasowych nie zna) zachowa choć trochę podziwu dla tej Polski, która jest, najprawdziwsza „w armji”. Chciałoby się choćby z cicha zakląć, bo albo w dziesiątą rocznicę wojny należało przekląć i genjusza Francji i wolność obijającą się między ludźmi uzbrojonymi, albo orzec, że skoro tylko w armjach prawdziwa wolność żyje przeciwko tej wolności walczącej trzeba, do któregoś pięknego dnia udławi nas w swoim uścisku, tak bardzo Strugowi miłym.

Strug równie dobrze obraca się w świecie mieszczańskie brutalności (Fortuna Kasjera Śpiewankiewicza), jak i wojennej i dodac trzeba, że Strug najlepszy uczeń Żeromskiego znacznie przewyższa swego mistrza w operowaniu materiałem psychologicznym, mimo, że stylistycznie niedaleko się posunął. Co więcej, proza ta jeżeli ją porównamy z prozą przedostatniej książki Struga, jest znacznie słabsza i schronienie znalazła w niej cała werbalistyczna Żeromskiego przy zupełnie porzuceniu syntetycznego skrótu jaki spotkaliśmy w „Fortunie kasjera Śpiewankiewicza”. Ten konserwatyzm literacki przejawia się bardzo jasno w opisach natury, co nie pozostaje bynajmniej w sprzeczności z całą działalnością Struga. Zastanawia jedynie widmowy obraz halucynacji („Żołnierz z pod St. Beat”) i powiedzialbym niedorzeczność tego rodzaju psychologizmu jako faktury twórczości literackiej. Tę swobodę psychologizowania, bo mieszczącą się na płaszczyźnie fantastyki, marzenia senne go i maligny uważam za trick graniczący blisko conajmniej z uproszczeniem, jeżeli już nie z ułatwieniem. Bo przy braku kośca, któryby sprawił, że opowiadania te mogłyby poza niedorzecznością gorączkowej zjawy dać jeszcze moment istotnych powodów rzezi, lub znaki ostrzegawcze, to jedynie w tej fakturze mieści się rozwiązanie i szukanie klucza otchłani. Mitologizowanie i ton dostojności stosowany względem zjawisk w trągnięciu swym prostych zaciemnia i tak zresztą niejasne próby „rzeźniczego osądu” wojny we wstępie i zakończeniu. Najlepszym opowiadaniem jest „Żołnierz z pod St. Beat”, najbardziej rozwlekłym i źle zbudowanym „Uczta zwycięstwa”. Ale klucza od otchłani nie znalazł autor. Tego poszukiwania nie można nawet nazwać pięknym gestem, bowiem Strug klucz od przepaści oddał ludziom uczującym na „Uczcie zwycięstwa”. Tak, sam im go oddał.

Stanisław Wygodzki.

NOWE POEZYJE FRANCUSKIE

PAUL ELUARD — L'Amour La Poesie. Paris 1929 Editions de la Nouvelle Revue Française str. 136.

Eluard należy do tych szczęśliwych poetów, którzy są uznawani prawie przez wszystkich: od skrajnej lewicy i nadrealistów aż do artystycznej prawicy. Trudno byłoby mi wyjaśnić przyczyny tego nadzwyczajnego powodzenia. Eluard jest bezwzględnie bardzo utalentowanym poetą — niemniej jednak głosy mianujące go obecnie najzdolniejszym z młodych i najlepszych z nadrealistów — wydają mi się nieco niesłuszne i przesądzone.

Ostatni tom wydany przed miesiącem w „NRF” zawiera pięć cyklów wierszy: Premierement, Seconde Nature, Comme une image i Defense de savoir I i II. Są to krótkie wiersze, przeważnie erotyczne. Charakteryzuje je pewna zwięzłość, obrazy tłumaczą się dość jasno. Mimo wielu bardzo dobrych chwytów liryka ta wydaje się jednak dość łatwą i nieco gadatliwą. Wyczuwa się próżnię, w którą uderzają sł

wa autora. Nie wypełniają jej dobre końcowe pointy. Najlepsze: dwa ostatnie cykle. Napiecie poetyckie jest w nich najbardziej jednolite i rozmieszczone na przestrzeni całego poematu. Poezja występuje tu w skondensowanej formie.

Georges Hugnet — 40 Poésies de Stanislas Boutemer. III de deux lithographies et de quatre dessins de Max Jacob. Chez Th. Briant Editeur Paris str. 68.

Georges Hugnet należy do najmłodszego pokolenia poetów francuskich, które przeżywszy wszystkiej asocjacji i nadrealizm szuka nowego sposobu wyrażenia się niezależnie od tych kierunków. Poezje Hugneta cechuje liryzm, wyraźny nie tyle zapomocą zwyczajnej aparatury poetyckiej, ile przez zaznaczanie pewnych faktów — zdarzeń z dziedziny codzienności, które pod piórem Hugneta nabierają specjalnego zabarwienia. Stany uczuciowe, które opisuje są proste i wyrażają się też w dość prosty sposób. Hugnet nie uganja się za metaforą. Raczej całe zdanie, jakieś skojarzenie zdarzenia

jest aluzją do pewnej rzeczywistości uczuciowej.

Książka Hugneta jest wydaniem bibliofilskim, które wyszło w bardzo ograniczonej ilości egzemplarzy. Ciekawe rysunki Max Jacoba zasługują na podkreślenie.

M. SEUPHOR — Lecture élémentaire. Paris 1928. Chez „Les Ecrivains reunis”, str. 252.

Seuphor jest Belgijczykiem z pochodzenia i zaczął pisać po flamandzku. Pomimo to czuje język francuski jak żaden z pisarzy i umie wydobyc wszystkie tkwiące w nim możliwości melodyjne i najtrudniej uchwytnie odcienie znaczenia. Poezje Seuphora są nieprzetłumaczalne na żaden inny język, gdyż każda próba przekładu odziera je z wszystkich subtelności, których się nie da wyrazić. Seuphor doszedł poprzez nową sztukę do pewnej wewnętrznej skomplikowanej prostoty. Czyta się te wiersze na głos

i brzmią jak muzyka, jak powtarzające się fugi. Chwilami przechodzi poezja zupełnie w muzykę, (n. p. „Marcelle et son moineau”, „Qu'ens”, „Sauteurs sans seupapes”, „Sardaigne” i in.). Przy tym muzycznym abstrakcjonizmie zanikają oderwane obrazy, które kojarzą się głównie na mocy swego melodyjnego, a nie wizualnego, następstwa.

Na tle pewnego wyjąłowania współczesnej nowej poezji francuskiej, gdzie pierwsza generacja poetycka (Max Jacob, Blaise Cendrars, Cocteau i in.) zamilkla, a druga nie zdołała jeszcze pokazać większych talentów — Seuphor jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Potencjał poetycki napiecia jest u niego bardzo wysoki. Seuphor nie napisał i z pewnością nigdy nie napisze — powieści. Wyda może jeszcze jeden lub dwa tomy i... przestanie. Nie będzie nigdy literatem.

Jan Brzękowski.

Najszybszą, najwygodniejszą podróż

NA

POWSZECHNĄ WYSTAWĘ KRAJOWĄ

zapewni ci samolot.

Specjalne zniżki z okazji P. W. K.

SERGIUSZ JESIEŃ

LIST DO MATKI.

Żyjesz jeszcze, moja starowinko?
I ja żyję. Pozdrowienia śle.
Niechaj syczy się nad twą chatynką
to wieczorne światło w sienie mgie.

Mnie pisano, że ukrywasz twórcę,
tęsknisz za mną, że cię trapi żal,
że wychodzisz często znów na drogę
w swej salopie śmiesznej — patrzeć
w dal.

A gdy siny mrok się na wieś kładzie,
często widzisz, niby blisko — tuż,
jak ktoś nagle mi w karczemnej zwa-
dzie
wbil po serce ostry fiński nóż.

Głupstwo, mamo! Rozjaśnij swe lica.
To igraszka tylko sennych mar.
Już nie taki ze mnie pijanica
bym bez ciebie gdzieś tam zdala zmarł.

Po dawnemu łaknę twej pieśnicy
i o jednym tylko marzę w snach,
by czym prędzej od tej złej tęsknoty
znów powrócić pod nasz niski dach.

Wróć, wróć, kiedy znów w zachwycie
rozwióseł się nasz biały sad.
Tylko ty już więcej mnie o świecie
nie budź tak, jak osiem temu lat.

Nie rusz tego, co się odmarzyło,
nie budź tego, co na wieki śpi, —
zbyt mnie wcześniej życie doświadczyło
stratą złud i nudą wszystkich dni.

I modlitwy nie ucz mnie. Nie trzeba!
Co odeszło, już nie wróci, nie.
Tyś jedyna ma osłoda z nieba,
tyś jedyna moje światło w śnie.

Więc zapomnij już tę swoją twórcę
prześnią tęsknić, porzuć zbędny żal.
I nie wychodź często tak na drogę
w swej salopie śmiesznej — patrzeć
w dal.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski.

WAŁ RZYŃCIEC CZERESŃIEWSKI

PODRÓŻ.

Pociąg łyka szyny,
Szyny wiążą odległość,
Wagony się w biegu skuliły,
Za oknami mkną z nami piękno.

Krajobrazy stłoczone pędzą,
Bałwanią się szare role.
Drzewa uschniętą gałęzią
Zatrzymują sygnałem kolej.

Zjechaliśmy już taką przestrzeń,
Niemały cały kulisty świat.
Oczy nasze tonęły w pięknie,
Tylko słuch mu urodę kradł.

W miastach, w miasteczkach, na stac-
jach.

Ludzie w łachmanach i głodni.
A nad każdym z nich kwitła akacja
Wzrokiem jagód kwiecia się modli.

Piękne były zachody i wschody.
Czerwone jak maków pola.
Złocąc w górze drzewne korony,
Nie złościły szarości dokoła.

Więź jedziemy. I coraz więcej
Ludzi głodnych, co krzyczą: chleba.
Sto tysięcy, milion tysięcy —
Naprawdę pragnących nieba.

Wszędzie piękno rosnące majem
W wiecie wiatrów strzelistym kwie-
ciem.

Wszędzie piękne krainy i kraje —
Wszędzie ból, co słowami gniecie.

Ale kiedyś, w kraj inny zajedziemy.
Będzie pięknie i dobrze, radośnie.
Nas nie będzie już — i my wiemy:
Piękno z dobrem jest w jednym kłosie.

WIEŚLAW PAJEWSKI

JOSEPH CONRAD.

Moje słowa — czerwień koralu,
moje myśli — cisza i cień;
rozkołysanym śpiewam falam
rozkołysaną pieśń.

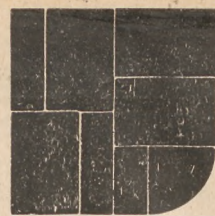
Przystaję — smuga cienia
uciekam — boży gniew;
mówię tylko milczeniem,
z milczenia tworzę śpiew.

Ludzie nieznani, ludzie półdzyki!
Dalekie wyspy morskiego kotła!
Sześć opowieści nawałnicy
z sercem moim się sploty.

Tajemne myśli, miękkie słowa
rozdam korsarzom i szulerom;
mglista tęsknota obejmie głowę
Szaleństwem Almayera.

Na dalekiej morskiej głębinie,
jak ostatni zachodu błysk,
dogoni mnie i dopłynię
Freja z siedmiu wysp.

Uciekają przed grozą bożą
żagle, nastawione na wiatr.
Ojczyzną moją jest morze,
ojczyzną moją jest świat.



SYGNAŁY



E. M. Remarque. Im Westen nichts Neues.
Propyläen — Verlag. Berlin.

275 tysięcy w Niemczech, 10 tysięcy egzem-
plarzy dziennie — jak ogłasza pewien wydaw-
ca czeski — w Czechach, zawrotne te nieby-
wale cyfry, o czym one świadczą? O niepo-
rozumieniu? oburzeniu? zachwycie? o jakości
uświadczenia ludzi, którzy przeżyli wojnę?
Na pytania te należy odpowiedzieć i twier-
dząco i przecząco. Bo pisać o książce tej i nie
wpaść w politykę dnia dzisiejszego, znaczy:
wpakować ją gwałtem do literatury, a tem
samem osłabić jej działanie. Literackie jej
rozpatrywanie wywarłoby wpływ niwelujący.
spojrzeć na nią po ludzku, zwyczajnie — co
niechybnie narazi mnie na zarzut politykier-
stwa — znaczy orzec, że 1000 jeszcze takich
książek nie zażegna nadchodzącej, na gwałt
szykowanej przez wszystkie mocarstwa, wojny.
Recenzje i krytyki, jakie wypadło mi czytać,
podkreślają fakt, że nadchodząca wojna jest
straszna dlatego, że maszyną wypiera człowie-
ka, że zniknęły owe piękne czasy, kiedy w bo-
ju człowiek przeciwko człowiekowi występo-
wał, a nie przeciwko maszynie. W związku
z tem, oczywiście, nie omieszkali snuć dal-
szych rozważań na temat zmaterializowania
świata, który wypiera z wszystkiego, co jest
ludzkiem, idealizmem i pięknem. Wprawdzie nie
widzą ludzi złych, ani dobrych, wszyscy lu-
dzie są jednacy, jedynie świat emocji jest róż-
ny i w ten sposób zagadnienie wojny przesun-
nięto na tę właśnie płaszczyznę: emocji. Ba!
niektórzy uważają wojnę za objaw zdrowia,
tężyny, i ktoś, reprezentujący Polskę inte-
lektualną, na forum międzynarodowym wca-
nie niewzruszenie mówił o wojnie w tym mniej
— więcej sensie. Padło słowo: tragizm. Wojna
jest tragiczna, okropna, straszna, ale zdaje mi
się, że tragizm wojny, jeżeli tragizmem nazwać
można na samej powierzchni przewalającej się
logicznej przesłanki wojen w postaci ustroju
gospodarki kapitalistycznej i imperjalizmu
tkwi zupełnie gdzieś indziej. W tem, że dzisiej-
sze pokojowe państwo coraz jawniej staje się
organizacją ucisku i że przez ucisk, który jest
niczem innym, jak wojna, istnieje. Poco jest
wojna w ogóle potrzebna — zapytuje Tjaden
(str. 205) i Kat odpowiada „muszą być ludzie,
którym ona służy” i dalej Tjaden „ludzie,
którzy chcą na niej zarobić”. Gdzie więc, w
czyich umysłach kryje się to ogromne kłam-
stwo o chęci wojen, o wyższości jednego naro-
du nad drugim, o prawie do wolności mocar-
stwowego stanowiska kosztem niewoli naro-
dów innych? Komu służą zbrojenia, dzisiejsze,
militarystyczny system wychowawczy, dzisiej-
sza nauka historii? Chamule, Szwejkowi, nie-
znanemu żołnierzowi, który się nazywa Tja-
dem, Katczyński, Detering? Tym młodym
chłopcem zieleniejącym, gdy się rozpoczyna
strzelanina, i szalejącym? Wertuję tę książkę
poraz któryś i szukam odpowiedzi. Nie znaj-
duje jej. Remarque odpowiedzieć nie potrafił.
I tu przy całej swej rewelacyjności, książka ta

poczyna spełniać rolę, jakiej jej może autor
narzucić nie chciał: poczyna słać złudzenia.
Bo wszak zdawałoby się, że po przeczytaniu
jej, człowiek przerażony widmem wojny, nie
będzie jej chciał, i w istocie nie chce, ale czyż
obraz grozy zmieni bodaj na chwilę obraz
państw, ustrojów, w których się kryją niena-
dające się uchylić przyczyny masowych mor-
dów? Grozę 10 milionów zabitych, 20 miljo-
nów kalek przesłania groza obrazu ekono-
miki, gospodarki kapitalistycznej, imperjalizmu,
obraz najstraszliwszego nieporozumienia cza-
sów przeszłych i obecnych. Czemże piętnować
morderców, jeśli przypomni sobie, że to
właśnie Loyd Georg cytuję Remarque'a, a jeśli
według słów Poincarégo, pokój utrwalają tyl-
ko ci, którzy jak świętość przechowują trady-
cje wojenne. Jedną jest zasługa Remarque'a:
przypomina, że nie już nie znajduje w stanie
utajonym. Wyrzekamy się wszystkich zdoby-
czy techniki, gdy mogą nam pomóc w walce
z przyrodą, ale zdobywcze te przyswajamy so-
bie, gdy służą mordowi. Całe pałacie Europy
o technice z przed 50 lat co najmniej, mogą
się pochwalić znakomicie powiększoną ilo-
ściami gazów trujących, masek, tanków i krą-
żowników, gdy posiadają dostęp do morza na
przestrzeni kilkunastu bodaj kilometrów. Ale
tem jaskrawsze stają się nędze kompromisów,
gdy chodzi nie o obronę interesu kapitalistycz-
nego, ale o zdrowie i życie proletariatu, który
czasu pokoju jest mięsem tucznym piówa lu-
nicznych, czasu wojny — armat, w walce o oj-
czyznę, wrogo względem proletariatu usposo-
bioną. Książka ta posiada tyle wstrząsających
momentów, że niechybnie wysunie się na czoło
literatury antywojennej, w niczem nie ustępu-
jąc, wbrew sądom o jej „nieliterackości”, in-
nym i pod względem artystycznym. Każda
scena, która się wydaje być najmocniejszą,
szybko się rozbija o drugą, jeszcze mocniej-
szą, okrutniejszą, oddaną z realizmem, który
nie przeraża. Bowiem tu poczynają się wkląć
sprawy ostateczne i jedyne. W stylistycznym
skąpstwie niesposób tych spraw rozwiązać, bo
Remarque uczynił je prywatnymi, i to jest naj-
większą wadą tej książki. Jest zmęczony, znie-
chęcony, nie dostrzega przeciwnika, który w
dziesięć lat po wojnie któregoś pięknego dnia
powiał grozą walki, gdy nad Hamburgiem
stał słup ognia. Jeżeli taki sam słup nie
przewalał się nad Paryżem, nie znaczy to, że
kapitalistyczna Francja gazów trujących nie
posiada. Musi je posiadać. Dymne sygnały nad
Europą, w krzyż rozwiane, uświconą ręką ka-
planów wszystkich religii, będą — niedaleko
już może, zwolowały wszystkich Kantorków,
Himkestossów, Kostrynów i Kapuściaków
przeciwko tym wszystkim, którzy nie tylko po
niemiecku, ale i po francusku, po polsku, po
chińsku wołają: „wenn ich davonkomme,
Kamerad, will ich kämpfen gegen dieses, das
uns beide zerschlung“...

S. W.

LUDWIK FRYDE.

MRÓZ

I.

Pałta zapięte szczelnie, ręce zatopione w
głębokich kieszeniach. Chcemy, nie chcemy —
musimy odejść. Ostatni spokojny oddech —
korytarzu szkolnym. Gwar spłynął po scho-
dach, rozpylił się w szatni i niknął trzaskiem
okutych, ciężkich drzwi. Spotkał nas oddech
przestrzeni, cwałujący w powietrzu. W uszy
wbila się i odskoczyła mała lśniąca igielka.
Palce u nóg poruszają się opornie. Staliśmy
zdziwieni. Ale wiatr bił w uszy, w szyję. Uszy
weiskały się kurezowo w twarde, sztywne kol-
nierze. Stąpamy wolno. Wbijamy zeszywniałe
stopy w płaszczyzny zlodowaciałego wiru.
Przez chwilę nie czujemy nic. Ale raz po raz
przebiła powietrze stalowa strzała wiatru szyb-
kim, płytkim oddechem prując przestrzeń.
Idziemy.

Nie wiemy dokąd. Nie patrzymy wprost
przed siebie. Ciężkie oddechy dygocą w nas i
otulamy się błękitną mgłą. Znieczulamy się o-
tuleniem półprzezroczystej pary. Ale drga
w nas i lka jakieś przecucie bolesnej rzeczy-
wistości.

Idziemy prosto, w ciszy, szeregami pobie-
lanych budynków. Oczy męczą się pierwsze.
Pożegnaliśmy się na jednostajnej płaszczyźnie
postronu. Przesunięte w górę mijają obojętnie
różową kepke nieba. Odblask zmarłego słońca.

Sztynnie w nas oddech. Nie widzimy jedy-
nego. Nie słyszymy się, bo obłok mgły
tłoczy nam w gardło bogactwo słów niewypo-
wiedzianych. Nie dotykamy się. Oczy boją
uszy klują, ręce sinieją. Ale prowadzeni tajem-
nym kompasem, wbijamy stopy w twarde,
zamarznięty bruk, idziemy rażno, prosto i rów-
no. W bezmyśle i uśpieniu serca stajemy się
wybijaniem taktu i rytmu marszem.

Jeden z moich kolegów odłącza się na chwi-
lę. Biegnie. Palce sine i sztywne daremnie usi-
lują zapiać odmykające się palto. Wszedł na
schodki i otworzył drzwi. Zniknął.

Czekamy. Rozglądam się i zaczynam my-
śleć. Dorożki przejechały, tramwaje zaskrzy-
piały w oddali, samochody umilkły. Przechod-
nie otulali się czarnymi płacami futer. Okna
zaskrzykiwały się i klują oczy tepami rysami mr-
zu. Wiatr przestał wiać na chwilę. Przyskna-
łem oczy. Zimno wali, tnie ostremi igłami. Z
wsząd. Z każdego kąta. Nieznośnie uciska cia-
snota obłuczonych buć. Chcę iść. Naprzód.
Wszystko jedno dokąd. Nie sam. Był nie sam.
Przestało boleć. Zdrętwiałem w namiętym
chceniu. Na uchu wisi mała biała szpileczka.
Wiatr uderzył, przeleciał, obudził.

Kolega wrócił. Kilka ciwil spędzonych
w cieple zmieniło go. Oczy — weselsze. Ręce —
spokojnie w kieszeniach. Śmieje się do nas.
Uszy zwisły bezwładnie. Idziemy.

Idziemy tepo. Nie obchodzi nas jutro, ja-
sne, radosne — wieczór wesół, tajemny — po-
łudniennie smakowicie, leniwe. Lecz wiemy jedn-
Pod pancerzem mroźów, bolesnych iskier, ku-

jących igieł zamknięta jednostajność boles-
nych codziennych. Ale werwimy się we
wnątrz, w serce wielkiej pracowitej codzien-
ności najwyższą, wyniosłą obojętnością —
przeciw podłemu, liżącemu się cierpieniu.

II.

Rozeszliśmy się przy rogu samotnej, glu-
chej uliczki. Poszedłem do czytelnicy. Pusto
i nudno. Za barjerą codzienności — brzydota
wytartych, obojętnych twarzy. Szumi szeleś
przewracanych kart. Słowo przyciszona kładzie
się na wargi i nie chce z nich spłynąć. Takie
proste i banalne — w otoczeniu świetności swej
i sławy. Teraz wracam samotnie do domu. Wy-
szedłem z biblioteki. Ta sama długa, biała ulica.
Ten sam dom, którego żółte, niezdrowe plamy
na białym otykowaniu zatrważają. Prawa no-
ga nieco mnie zabolala. Trudno. Poruszam się
wolniej. Poczułem pragnienie. Zmęczyłem się.
Włokę się prostą, wytartą ulicą. Dorożki kłapią
w lepkiem błoku.

Myślę sobie: dostałem tróję z historii. Mo-
gło być lepiej. Patrzę — koń się przewrócił.
Gromadka gapiów naokoło. Odwracam się.
Przejmuje mnie jeszcze ciepło czytelnicy. Pier-
szy róg. Jak w otwartą ranę wlatuje tłum w ro-
ną i tłumną bocznice. Wiatr wbił się w kołnierze.
Leci koło uszu. Myślę: ni stąd, ni zowąd wiatr.
wiewa srebrnych kuleczek mrozu, które prze-
sycione jest powietrze. Ale muszę się przedzie-
rać wpród. Kuleczki wciągają się o mnie. Le-
Noga uwiera okropnie. Cisza. Wiatr nie roz-

ciutki wietrzyk — boli — boli... O nogi, cią-
gnące się po trotuarze, uwiecznione w butach cias-
nych i wstrętnych.

Po to was mam, bym chodził równo i rze-
sko.

Ręce zmarznięte, sine.

Po to was mam, bym rozmachał się szeroko
w marszu.

Uszy przebite na wylot.

Myślę: dokąd idę? Prosto. Kombinuję, czy
będzie tak samo przyjemnie po skończeniu ży-
cia, jak drogi. Ale w uszach szumi wycie. Tup-
nogami. Oczy zamknięte. Ręce w podartych re-
kawiczkach zaciśnięte. Usta krzywe z bólu. Z o-
kropnym trudem otwierana zamglona światłość
oczu.

Spotykam kogoś znajomego. Zdejmuje cza-
pkę. Ale w mózg wświdrowuje się nieznosne py-
tanie — kto to? Znam go. Obraz stoi mi przed
oczami, ale zgubiłem imię w mgłę. Obraz roz-
plywa się w mgłę. Pójdę zobaczyć, kto to jest —
mówię do siebie. Nogi wleczą się dalej prosto,
nie wiadomo dokąd.

Dochodzę kresu. Ogarnęła mnie apatia.
W bramie przewiewnie chłodno. Schody odbra-
pane, pomazane napisami. Jeszcze jedno piętro.
Zrzucę palto, rozgrzeję ręce, zjem obiad. Trzeba
było wycierpieć. Oczywiście, koniecznie. Nie
sześć przepisowych godzin, a droga twarda, bez-
litosna, niewiadomo dokąd. Był nie sam, był
nie sam.

LIST OTWARTY

Idea „Paneuropy“ nierozdzielnie złączona z imieniem swego twórcy, zyskuje sobie także w Polsce licznych zwolenników, których niewątpliwie zainteresuje dobitny głos jednego z najwybitniejszych publicystów niemieckiej lewicy. Cokolwiek ktoś sądził o słuszności jego zarzutów i argumentów, to jednak gwałtowności poglądów i wszechstronności oświeślenia tak żywych zagadnień godzi się przedrukować ten list otwarty, — tem bardziej, że wobec gwałtowności i powagi jego tonu strona wyzwała do nam wkrótce najpewniej sposobność do przedrukowania odpowiedzi. (List został ogłoszony w jednym z ostatnich numerów „Weltbühne“. — Przekład został dokonany z nieznacznymi skrótami).

REDAKCJA.

„CZCIGODNY PANIE DOKTORZE“!

Jeśli niniejszem zgłaszam wystąpienie z Paneuropejskiej Unji, to muszę zarazem wyznać, jak głęboko dotyka mnie konieczność tego postanowienia. Cóż może być radośniejsze niż działać w świecie znakomitego meża? Dla mnie napewno nie innego. Tembardziej, że możliwości takie są w naszych czasach tak djabłnie rzadkie! — Politycznie aktywni są zazwyczaj bezduszni, górujące zaś duchy nie czynni politycznie. I właśnie u najgorliwszych u najgłębszych właśnie musimy się na to często uskarżać. Spójrz na człowieka tak porwany i porwany jak Karl Kraus, ów rozfraszający męczennik czystości duchowej. — czyż nie zadawała się ciągle tylko formułowaniem swej nienawiści i swej świętej miłości? Czy nie pozostaje tu jakaś reszta dla naszej tęsknoty? Czyż nie musimy dalej postąpić? Aby przemyśleć, jakimi drogami mogłaby ludzkość uniknąć przed grozą i hańbą; aby utracić panujące moce, którym na imię: grubeństwo, głupota, cyniczna żądza zysku, kłamstwo i podłość? Jakim to lekarstwem uleczyć i jakie narzędzie zastosować, aby ziemię piekielną przemienić z powrotem w Eden?... To przemyśleć — (przyczem nie możnaby pominąć wysiłków od Mojżesza do Nietzschego, od Korfucjusza do Lenina) — wdraża się Kraus: jak uczynić to, jak usunąć ze świata to wszystko co nas smuci, boli, udrażnia, mierzwi i oburza. aby życie, — jeśli nie dla nas, to dla przyszłych — było godnem życia? Oto są zagadnienia politycznego mesjanizmu. — Które mistrzowie odpierają od siebie. Tworzą oni wielkie przykłady; lecz do działania nie pobudzają słuchaczy. Nie brak tym krytykom współczesności zmysłu dla konstrukcji, ale wyczerpującego w swej sztuce. — Tak, są artystami, a artystą być to rzecz ogromna; ale nie jest to jeszcze najwyższa ludzka godność. Musi się ich kochać; i czcić; aby jednak dążyć za nimi — nie dają możliwości. Leonard Nelson, choć nie posiadał takiej fantazji, ani potęgi wyrazu, dał nam tę możliwość. Jego nazbyt wczesny zgasły żywot cały był poświęcony tej najgłośniejszej sprawie: z żmudną pracą wydobywał sobie odpowiedź, nauczał, kierował. Posiadał dar krytyczny i konstrukcyjny; konstruktywizm nie muzyczny w gabinecie poetyckim, lecz w realnym materiale, w życiu. Problemat jego: przemiana świata; był aktywistą. Pański problemat jest taki sam. Należy Pan do twórczego typu mesjanistycznych polityków. A że jest Pan nasiąkły sokiem minionych kultur barzono barbarzyństwa naszych czasów i rozświetlony duchem przyszłości, więc potężnie odejść się Pańska postać na tle tego politykierstwa, które zapelnia dzień europejski z prawa, lewa i pośrodku i uważa się za rzecz jedynie możliwą z tej tylko racji, z jakiej wszelka przeciećność i jej tyrania, uważa się wszędzie za jedynie możliwą. Nelsona. Pana uważałem zawsze za dwóch najwybitniejszych filozofów naszej sfery kulturowej; oceni Pan zatem, czym stał się Pan dla mnie od czasu jego śmierci. Po Pańskich książkach „Edyka i Hyperdyka“, „Praktyczny idealizm“, „Kryzys światopoglądu“ potwierdziło mi ostatnio wizję Pańskiej postaci, wspaniałe dzieło „Bohaterstwo czy Świętość“. Z Panem walczyć w tych samych zastępach (kiedyż będzie można użyć tej metafory bez wyrzutów sumienia?) sprawiło mi radość rzeczywistą, odkąd — przed dziesięciu laty — odkryłem geniusz Pański w malej rozprawce o Platonic, którą ogłosił Pan — nikomu nieznaną — w „Erde“ Waltera Rillasa. Stwierdził Pan wówczas:

„We wszystkich socjalnych i gospodarczych sprawach jest Platon przeciwnikiem dykalny jego socjalizm uzupełnia się surowym arystokratyzmem... Do szczęścia każdy rości sobie prawo, ale do władzy tylko najlepszy.

własności prywatnej, przeciwnikiem pieniądza. Za największe zło oligarchji (t. zn. kapitalistycznej formy ustrojowej) uważa „że państwo takie nie jest jednoznaczne, lecz jest rozdwójne na państwo biednych i bogatych, które na wspólnym obszarze mieszkając, ustawicznie się atakują... Platon: największy grecki socjalista. Za nim, który wszelkie gospodarcze różnice i krzywdy wyrównać usiłował a karierę przemieniał w funkcję indywidualności, — za nim powinniśmy dążyć wszyscy szlachetni ludzie ducha. Przytem jednak — i to jest najciekawsze nie był on wcale demokratą. Gdyż ra-Ta myśl platońska przeciwstawia się prądom współczesności...“

Ale była to nasza myśl. Latami jednoczyła nas. Ból rozslania się z Panem jest głęboki. Lecz muszę.

Albowiem odszedł się Pan od idei, która nas łączyła. Zwolna, ledwo dostrzegalnie ostatnio już widocznie, nawet jaskrawo. Od rewolucyjnego socjalizmu, od rewolucyjnego

na jeszcze było odmówić udziału swego w ruchu, którego cel się uznawało. Póki się w tę neutralność wierzyło. A była ona zagwarantowana czwartą tezą programu: „Unja Paneuropejska powstrzymuje się od wszelkiej ingerencji w sprawach polityki wewnętrznej“.

Tę zasadę, szanowny Doktorze Coudenhosse, złamał Pan w swych najnowszych politycznych publikacjach. W 9 zeszytce czwartego rocznika Pańskiego czasopisma „Paneuropa“, w essay'u „Wojna a rewolucja“ czytam „Czarna potęga światowa, Rosja sowiecka, obwieszcza również swoją doktrynę Monroëgo. Ta doktryna obejmuje jednak nie jedną część lub strefę ziemską, lecz całą ziemię. Jawnym celem unji sowieckiej jest zrewolucjonizowanie i sowjetyzacja całej ludzkości oraz przyłączenie jej do Rosji sowieckiej.

Podobnie jak panslawizm... jest też panslawizacja ideologia... podstawą najzachlanniejszego imperializmu, na jaki kiedykolwiek zdobyło się jakieś mocarstwo...“

Bolszewicy chcą zdobyć świat nie dla Rosji, lecz dla socjalizmu. Walkę o system społeczny, któryby ogarniał świat cały, w którymby imperializm został wypłeniony. — walkę o państwo globalne bez indywidualnego i narodowego niewolnictwa, o bezklasowy ład i pokojową produkcję... taką walkę „imperialistyczną“ nazwać: co za sofizm!

Rosja „od dziesięciu lat prowadzi wojnę“ przeciwko państwu Europy? Tak jest! Tak jak policja kryminalna prowadzi wojnę przeciw przestępcom; jak walczą lekarze przeciwko zaraze.

Liga Narodów jest Panu za mało kontrewolucyjną? Życzy Pan sobie, aby poszła w ślady Świętego Przymierza — przeciwko Rosji? Tego właśnie, że mogłoby się to pewnego dnia stać, obawiamy się i staramy przeciwdziałać. Nam bowiem nie sprawy kapitalizmu są święte, lecz potężny etyczny eksperyment w Rosji sowieckiej.

„Także dla pokoju wewnętrznego walczyć“? Tak jest! To właśnie! Panująca klasa łamie go codziennie, a dopiero przewrót socjalny ustanowi go. To, co Pan nazywa „wojną horyzontalną“ służy do ostatecznego zniszczenia „wertykalnej“.

„Nauczyć się rezygnacji z gwałtu“? Niechże Pan to raczej powie nie tej klasie, która chce się wyzwolić; niech Pan to powie klasie ciemniejszych; jej dowódców i generalnym dyrektorem, prezydentem jej policji i klechom, jej sędziom i katom! Niech Pan to powie jej ludowym przedstawicielom, którzy swym hłaśliwym próżniactwem przyczyniają się do tego, że lud jest coraz więcej deprimowany.

Mówi Pan o „głodnych władzy rewolucjonistach“? Ja widzę głodnych przedewszystkiem! Czy był pan już kiedyś robotnikiem kopalnianym? A bezrobotnym — był Pan już kiedyś? Czy Pan tłoczył się już kiedyś w jednym lochu z siedmioma osobami? Czy tkwił Pan już kiedyś w zdartych łachmanach? Kaszlał? Czy już nie wiedział kiedyś, czemu Pan nazajutrz postną bułkę oplaci? Czy pojmuje, że miliony Kulisów w Chinach, Europie, i gdziekolwiek bez żadnej winy żyją w warunkach, wobec których Pański najgorszy dzień wydawałby im się rozkosznym rajem? I czy przeczuwa Pan choćby nieopisaną udrękę więźniów od Konga do Cayenne, do Bałkańskich kaźni? Dla większej części ludzkości jest życie, aż do grobu, nie o wiele radośniejsze od kaźni. A to powolne mordowanie prawie, że równa się szybkim mordom wojennym — nie wspominając już o tem, że dopomaga ono wywoływaniu okropności wojen. Czy może wierzy Pan naprawdę wobec genewskiej birleski, że kapitalizm zacznie się rozbić?

pobiec zniszczeniu przez rewolucję tego, co Nie, Coudenhosse, nie o to chodzi, „aby jeszcze wojna oszczędziła“, lecz o to, aby rewolucją zapobiec zniszczeniu przez nową wojnę tych resztek życia, które jeszcze poprzednia wojna zostawiła.

„Pan jednak chce ostrze swego systemu zwrócić przeciwko Rosji. W 4 zeszytce piątego rocznika swego czasopisma oświadcza Pan z niedwuznaczną jasnością, że Rosja tylko wtedy będzie można włączyć w Pański system pojętą państwowych, „gdy wyreknie się swej rewolucyjnej zagranicznej propagandy“. A ponieważ ona tego nigdy nie uczyni, nigdy uczynić nie może, — więc teza Pańska oznacza przyłączenie się Unji Paneuropejskiej do międzynarodowego sprzysiężenia przeciwko Rosji sowieckiej i rewolucji socjalnej. Klauzula wewnętrzna - politycznej neutralności została w programie Paneuropy milczkiem zniesiona. Pańska Unja całkiem jawnie „miesza się w sprawy wewnętrzne - polityczne“ — a mianowicie z prawej strony: pracuje ona nad utrzymaniem przekleństwa ustroju społecznego, plującego w twarz humanitarności: jest ona kontrewolucyjna; ja nie mam z nią więcej nic wspólnego.

Od najświętszej wiody i woli swej młodości — Ryszardzie Mikołaju Coudenhosse-Callergi — odstąpił Pan. Ale w swej najistotniejszej głębi napewno jeszcze nie! Jeszcze wierzę w Pana. Pracuje Pan pod naporem tęsknoty, która mi nie jest obca; pod naporem szaleńczej wizji i celu: ideę z ducha narodzoną już jutro zrealizować w przestrzeni. I dlatego zasiadł Pan do wspólnego stołu z bankowymi magnatami, ministrami, królami przemysłu, socjaldemokratycznymi frakami i podejrzanymi redaktorami; i dlatego Pan — platonik — sprzymierzył się z kapitalistyczną demokracją. Cóż może ona dać Panu? Zaszczyty zewnętrzne i wiele żalu serdecznego. Lecz ani zdziębka dla urzeczywistnienia mesjańskiej idei. Będzie Pan... tak, choćby Pan teraz uśmiechał się swym najgłębszym, najmielszym eurażjatyckim uśmiechem. — będzie Pan jeszcze kiedyś myślał o mnie. Ratuj Pan swoją duszę! Rui mange de la démocratie, en menrt“.

LEOPOLD LEWIN.

KRADZIEŻ.

*I chrapała deszczowym chłupotem,
Kiedyś wypadł z za męgła zdyszany
Noc ugrzęzła w jesiennej szarudze
Pamięci Wiktora Hugo.
Zatrmożony, oblepiony potem.*

*Miasto spało, spracowane ciężko,
Przerzwanym dyszało oddechem.
Nikt nie widział, że krztusisz się łzami,
Że się dlańwisz dobroczynnym grzechem.*

*Nikt nie gonil. Tylko noc straszyla:
Brama, zakręt, ulice w półmartwe;
Każdy dom chciał ci wyrwać z poro-
tem
Bochen chleba ukryty pod paltem.*

*Lepkie błoto chlupało rociąż — złodziej!
Kłula w oczy latarnia zdradziecka,
Skrecał kieszki głód - towarzyszył mierny.
W uszach tłukł się płacz głodnego
dziecka.*

*Jakież ciebie paragraf potępi?!
Każdy wyrok to krzywdy oszczercza.
Któż potrafi przeniknąć do jądra,
W głębię wzruszeń ojcowskiego serca?!*

*Nikt na ciebie nie krzyknie: nędzniku!
Niechaj sądy ze zgroy zdebęją! —
Przez sieć deszczu i wichru cię widzę,
Szarpanego trwożą i zarwieją.*

arystokratyzmu odzegnał się Pan; wypowiedział im Pan wojnę; zawarł Pan otwarty pakt z kapitalistyczną demokracją. Gwoli „Paneuropie“

„Paneuropa“ — to nie jest Pańska najoryginalniejsza lub najważniejsza idea, ta książka nie zawiera najdonioślejszej Pańskiej istoty (choć na cały świat rozślawiła Pana). Postawiony swego czasu przed wyborem: przystąpić do Unji, którą Pan tworzył, do paneuropejskiej, lub nie, — zdecydowałem się przystąpić. Ponieważ rozsądna wydawała mi się myśl, aby zamiast bezkształtnej Ligi Narodów, — tej pstrokatej mieszaniny, w której nie brak wprawdzie Salwadoru i Luksemburgu, ale brak United States i Rosji — utworzyć jednolitą skryzalizowaną, pewien twór pracy, żywy, jakoby związek związków, z których każdy tak się dawałoby to rękominie za całość, za ogarniającą jedność ludzkości, oparta na prawie i pokoju, a złożoną z pięciu potęg: Pan-ameriki, British Empire, Azja Wschodnia, Unja Sowiecka i Paneuropa...; ponieważ ta myśl, połączona jeszcze z ideą europejskiej unji celnej, a nawet Europejskich Stanów Zjednoczonych na wzór naszego jedynego, ponad-narodowego państwa: Szwajcarii, — wydawała mi się rozsądną i wiarygodniejszą planem polityki zewnętrznej w epoce przedsocjalistycznej, która wkońcu nie może zrezygnować z polityki zewnętrznej. Że wykluczenie Anglii i Rosji z Pańskiego projektu Paneuropy ma znaczenie tylko tektoniczne, nie zaś polemiczne, o tem Pan niejednokrotnie zapewniał; podobnie też: że Unja paneuropejska jest w sprawach polityki wewnętrznej neutralna. Można było powątpiewać, czy prąd polityczny — jakiegokolwiek sobie cele wytykał — może sobie pozwolić na neutralność wobec alternatywy: kapitalizm socjalizm. Z tej racji jednak nie moż-

MAURYCY SCHIMEL.

ŚNIADANIE.

*Zdaleka pachną piekarnie świeżym,
pożywnym chlebem,
Na miękkich, przytulnych łóżkach
spia piękne białe panie.
Na szsach podmiejskich pracują ludzie
pod gołym niebem,
Na niebie Bóg spożywa wielkie, smacz-
ne śniadanie.*

*O ósmej podają do łóżka gorące, wonne
kakao,
I pulchne różowe bułeczki pachnące
miodennym masłem—
Czyjeś troskliwe usta pytają: „jak się
spalo“?
Czyjeś bolesne oczy męką obrzmiały —
zgasły.*

*Dyrektor „Ferraminu“ autem myrusza
do biura.—
Ręką dotknięte motory codzienną męką
zabrzmiały;
Dzień, jak huśtawka ponosi raz w dół,
to znowu w górę.—
Któs chylkiem podniósł na bruku
mrytowny niedopałek.*

*Wszystko jest takie grzeczne, takie
spokojne i mile,
Jak myczesane dzieci jak stara, siwa
niania,
Lecz cóżby się w mieście działo, gdyby
nagle zaroiły
Czarne, zarosłe gęby, co dziś nie jadły
śniadania? —*

Revolucyjna agitacja stała się dzisiaj środkiem wojennym, międzynarodowo dozwolonym. Na tych metodach wsparta, prowadzi Rosja sowiecka wojnę od dziesięciu lat przeciwko wszystkim państwowościom Europy...

Między wojną a rewolucją niema zasadniczej różnicy: wojny to wertykalne rewolucje, rewolucje zaś to horyzontalne wojny...

Święte Przymierze wysnuwało konsekwencje z tego wewnętrznego pokrewieństwa między wojną a rewolucją. Zwracało się zarówno przeciwko wszelkim wojnom jak rewolucjom, było zatem pacyfistyczne i kontrewolucyjne zarazem...

Liga Narodów, która... usiłowała wznowić dzieło Świętego Przymierza, była mniej konsekwentna. Zwraca się ona wraz z paktem Kelloga tylko przeciwko międzynarodowym wojnom, a pozwalają domowe...

Kto uczciwie pragnie pokoju, musi walczyć nie tylko o zewnętrzny, lecz i o wewnętrzny pokój... Musi odgraniczyć się od wszelkich fałszywych pacyfistów, którzy w gruncie rzeczy pragną nie wywalczenia pokoju, lecz obrócenia wertykalnego frontu wojennego na horyzontalny...

Niech klasy podobnie jak narody walczą o swe prawa i swoją wolność; ale muszą przytem tak samo nauczyć się rezygnacji morda i gwałtu...

Niech Europejczycy poznają, że głodni władzy rewolucjoniści są tak samo niebezpieczni, jak głodni władzy militariści...

W tym duchu niech Europejczycy walczą dla dobra Europy, także o pokój wewnętrzny, aby nowa rewolucja nie wyniszczyła tego, co jeszcze wojna oszczędziła.

Coudenhosse! Jest to w każdym punkcie przeciwieństwem tego, co myślą i pragną.

Wyżej chmur i chyżej ptaka

S A M O L O T Y

przewożą codziennie pasażerów, pocztę, towary tanio i bezpiecznie.

Bydgoszcz, Katowice, Kraków, Lwów, Poznań, Warszawa, Gdańsk, Brno i Wiedeń.

NOWE KSIĄŻKI

Karol Irzykowski. „Walka o treść”. Studja z literackiej teorii poznania. Nakł. Księg. Hoesicka, Warszawa 1929.

Wojciech Stępczyński. „Polska która idzie”. Nakł. Księg. Hoesicka, Warszawa 1929.

Konstanty I. Gałczyński. Porfirjon Osielek”. Powieść. Nakł. Księg. Hoesicka, Warszawa 1929.

Witold Zechenter. „Ręka na sterze”. Poezje. Nakł. Księg. Hoesicka — Warszawa 1929.

Emil Zagadłowicz. „Dęby pod pełnią”. Poezje. Nakł. Księg. Hoesicka, Warszawa 1929.

Ludwik H. Morstin. „Kłos Panny”. Powieść. Nakł. Księg. Hoesicka, Warszawa 1929.

Kamil Giżycki. „Przez Urjanchaj i Mongolję”. Nakł. Zakł. Nar. Im. Ossolińskich, Warszawa — Lwów 1929.

Narcyza Żmichowska. „Biała Roża”. Powieść. Nakł. Domu Książki Polskiej, Warszawa 1929.

Edgar Wallace. „Tunel przestępców”. Powieść. Przetł. W. Zechenter. Nakł. Instyt. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Edgar Wallace. „Ręka Mściciela”. Powieść. Nakł. Instyt. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Marja Arct - Golczewska. „Botanika na przechadzce” z rysunkami i tekstem objaśniającym. Nakł. M. Arcta, Warszawa, 1929.

Bruno Winawer. „Biljon Słońce”. Biblj. Histor. Geogr. Nr. 122 — 123. Nakł. „Roju”, Warszawa, 1929.

Aleksander Junosza - Olszakowski. „Grobowiec w Beni Hassan”. Nakł. „Roju”. Warszawa, 1929.

Paul Morand. „Magia Czarnych”. Przekład i słowo wstępne Wacława Rogowicza. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa 1929.

Herman Hesse. „Wilk stepowy”. Powieść w przekładzie Józefa Wittlina. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa, 1929.

Jim Poker. „Trójkolorowa bandera”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa, 1929.

Paul Morand. „Lewis i Irena”. Powieść. Przetł. Stefania Podnorska - Okolow. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa 1929.

J. Meissner. „4500 km.”. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa, 1929.

Piotr Louys. „Zmierzch nimf”. Ilustrował J. Winarz. Nakł. Tow. Wyd. „Rój”, Warszawa, 1929.

W. B. Maxwell. „Strzeżony płomień”. Powieść. Nakł. Instyt. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Edgar Wallace. „Gentleman - Bandyta”. Powieść. Przetł. Jawnuta. Nakł. Instyt. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Marja Dunin - Kozicka. „Burza od wschodu”. Wspomnienia z kijowczyzny 1918 — 1920. Nakł. Domu Książki Polskiej S. A., Warszawa, 1929.

Joseph Conrad. „Ocalenie”. Opowieść z płytkiego morza. Tom. I i II. Nakł. Domu Książki Polskiej S. A., Warszawa, 1929.

Edgar Wallace. „Bractwo wielkiej żaby”. Powieść. Przetł. M. Tarnowski. Nakł. Instyt. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Gustaw Frenssen. „Sługa boży”. Powieść. Tom. I i II. (Wojna, Pokój). Przetł. Leopold Staff. Nakł. Instyt. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Emil Ludvig. „Syn człowieczy”. Powieść. Wyd. „Renaissance”, 1929.

Mieczysław Fularski. „Argentyna, Paragwaj, Boliwia”. Wrażenia z podróży. Nakł. M. Arcta, Warszawa, 1929.

Leopold Blaustein. „Das Gotteserlebnis in Hebbels Dramen”. Verlag von Reuther et Reichard, Berlin, 1929.

E. De Henning - Michaelis. „W zamęcie”. („Burzy dziejowej”, część trzecia). 1917 — 1918. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1929.

W. Niezabitowski. „Skarb Aarona”. Powieść. Nakł. Biblioteki Groszowej, Warszawa, 1929.

E. Keyserling. „Parne dni”. Przetł. z niemieckiego Asten. Nakł. Bibl. Groszowej, Warszawa, 1929.

KORESPONDENCJA

P. Kub. Czechosłowacja. Niestety — nie skorzystamy. Pomimo wyraźnej wartości utworu — szczególnie „Pogrzebu”. Może odniesie się Pan do „Czartaka” lub do innych pokrewnych pism. Dla nas — charakterem swym nie nadaje się.

E. Kow. Belgja. Zwracamy się listownie. W. R. Kos. Londyn. Ogromna dla nas szkoda. Cóż robić? Przeczekamy.

N. Sch. Augustów. Prześlemy w najbliższym czasie.

B. Ein. Bochnia. Wiersze nieopracowane. J. Nar. Łazy Ślabe.

Witold. Łódź. Postęp ogromny. Prosimy o dalsze prace.

X. Warszawa. Z otrzymanych drukujemy „Kradzież”, jako utwór najlepszy.

Mar. Sch. Kraków. Będziemy drukowali. Wtór. Łódź. Radzimy zapoznać się z twórczością Peipera i dużo pracować. Sama metaforyzacja — to nie twórczość.

St. Them. Warszawa. „Kształty” przyjęliśmy do druku.

B. Szeft. Łódź. Drogi Panie! Wdzięczność nasza jest chyba bez granic. Słyszeliśmy o Panu wiele — i wiele nas cieszą nazwiska wielkich pańskich i cennych przyjaciół. Dlaczego nie może czy też nie chce nas Pan zrozumieć, że i nam przecież chodzi o Jego nazwisko, — że wszak niedojrzałość rzeczy pisanych nawet „stałych abonentów” i nawet wielkich ludzi nie dojrzeje nigdy — po wydrukowaniu.

Wątpimy, aby nie doceniał Pan tych tak ważnych w życiu motywów, dla których i tym razem wiersza nie ogłosimy.

Z. E. G. Kraków. Prosimy o dalsze utwory.

A. Łut. Kraków. Nowe przyjęliśmy. Gorzej z wierszem „o nas samych”. Czyżby aluzja w stronę zdobyczy socjalnych?

W. P. Piotrków. Za list dziękujemy. Drukować będziemy w miarę wolnego miejsca. O tom:

„Czarna Beatrycze” prosimy zwrócić się wprost do autora — adres: ul. Gęsia 49.

St. Pom. Lwów. Typowe i w dodatku przeciętne erotyki. Nie mówimy, że są złe — dla kompozycji i dla stylu. Tuszymy, że napisze nam Pan coś bardziej odpowiedniego. Tyle w życiu tematów...

Tad. Star. Piotrków. Prosimy przysłać o-mawianą nowelę. Poprzednia wyczekuje kolejki.

PROSIMY

WYRÓWNANIE

◀ ZALEGŁEJ ▶

i WPLACENIE

✦ BIEŻĄCEJ ✦

PRENUMERATY

WIECZÓR

POUDZIAŁ BIORĄ: POETYCKI

Lucyna Krzemieniecka
Wiesław Pajewski
Stanisław Wygodzki

w POL. KL. ART.

JAN
ZEGRZE
|| SZWAJCARSKIE ||
ZEGARKI
BIZUTERIA
|| SREBRO ||
|| I PLATERY ||
- NA DOGODNYCH WARUNKACH -
Warszawa, Nowy-Świat 30

NA DOGODNYCH
WARUNKACH
UBIORY I OBUWIE
męskie damskie dziecięce
H. REJLIN
WARSZAWA
ELEKTORALNA NR. 7
TELEFON 99-94
FIRMA
EGZYSTUJE
OD 1873

Na dogodnych warunkach
najmodniejsza
konfeksja damska
Palta, trykotarze,
suknie, szlafroki
bluzki, bielizna
MICHAELINA
Elektoralna № 7 telef. 189-78
FIRMA EGZYSTUJE OD 1905 r.

CENY najniższe **UWAGA!** CENY najniższe
WAJNTHAL
Największy Skład Jedwabi Węten Sukna
Istnieje od 1890 r.
WIELKI WYBÓR MATERIAŁÓW MĘSKICH DAMSKICH I WOJSKOWYCH
TELEFON 536-41
WARSZAWA, UL. NALEWKI 21 w podw. na lewo

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką — w kraju miesięcznie 1,50 zł., kwartalnie 4,50 zł., zagranicą kwartalnie 1 dolar.

OGŁOSZENIA: 1 mm — 1 szpalta (tam 4 szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50 proc. drożej.

REDAKTOR I WYDAWCA — JÓZEF PODHALICZ.

Adres redakcji i administracji:

ul. Młynarska 43, II p.

Konto czek. P. K. O. 16380.

Druk „Stołeczna”, G. Kryżel, Warszawa, Wolska 16. Tel. 88-67.